GŁOS NARODU

WINOWAJCY.

GALICJA W ROKU 1846.

(Ciąg dalszy).

Stąd wypływa oczywiście wniosek, że prawo to powinno być odjęte emigrantom polskim. Życzenie takie wypowiada ks. Metternich w notach swoich do hr. Appony'ego coraz wyraźniej, w końcu, bez wszelkich ogródek, natarczywie i poleca mu, aby w tej mierze nalegał na ministra Guizota, przedstawiając mu dobitnie wspólność niebezpieczeństwa w razie dalszego tolerowania akcji emigrantów, dalej wspólność interesów a nawet wspólność myśli, którą w nocie z 18 marca 1846 roku temi słowy określa: „Chciej Pan z mojej strony oświadczyć Guizotowi, że moralnie łączę go z mojemi własnemi myślami. Czego ja pragnę, tego on chcieć powinien, co ja czuję, to on także uczuwać powinien, co ja wiem, to i on wiedzieć powinien; a jeżeliby miało być inaczej, żałowałbym go z całej siły mojego sumienia“.

Mógł w ten sposób ks. Metternich apelować do wspólności celów i myśli z Guizotem, gdyż obaj czuli to dobrze, że pod strzeżonym przez nich systematem politycznym, wyglądającym na oko jak budowla, przez cyklopów wzniesiona, grunt już drżeć zaczyna, a dolatujące ich uszu głuche pomruki zwiastują zbliżający się kataklizm. Ks. Metternich pozostawił między swojemi papierami, przez syna wydanemi, własnoręczne zapiski, w których zwierzył się z tych obaw. Obaj mężowie stanu przeczuwali więcej, niż przewidywali zawieruchę, która w dwa lata później (1848) zerwała się nad ich głowami i obu porwała w przepaść.

Ks. Metternich, kując energicznie żelazo, rozpalone w piekielnym ogniu rzezi galicyjskiej, straszył nietylko Guizota, lecz także sąsiadów Austrji, zmorą przewrotu społecznego. Br. Minutoli, prezydent policji w Poznaniu, kijowski generał-gubernator, generał Bibikow, generał Mirkowicz w Wilnie, namiestnik, ks. Paskiewicz w Warszawie, informowani byli o szczegółach ruchu galicyjskiego, oczywiście, w powyżej wskazanem oświetleniu, bądź przez poufnika Metternichowskiego, szefa policji w Wiedniu, hr. Sedlnitzkiego, bądź za jego pośrednictwem przez Gubernium Galicyjskie. Cały kartel antypolski był w ruchu i w emocji. Wobec krwawej łuny, zawisłej nad Galicją, ks. Metternich i jego powiernik, hr. Sedlnitzky, ślepo już polegali na najdziwaczniejszych raportach, gęsto po zachodniej Europie rozsianych tajnych agentów, którzy, w popłatnym pościgu za materjałem, ciekawym dla ich chlebodawców, już dawno przed wybuchem przestali się liczyć nawet ze względami na prawdopodobieństwo, puszczając zupełnie wodze denuncjatorskie fantazji co do emigrantów włoskich i polskich. Włosi mają na to niezbite dowody, gdyż przypadkiem wpadły w ich ręce sekretne akta policji Metternichowskiej*). Polskim rękom nie sprzyjało pod tym względem szczęście, a tym, którzy po upadku ks. Metternicha mogli zaglądnąć do archiwalnej pozostałości kanclerza, nie wiele na tem zależało, w jakiem świetle były tam przez tajną policję przedstawione zamysły paryskich i wersalskich klubów polskich co do ruchu w Galicji. Można się jednak domyślić, że na temat

*) Anton Springer: „Geschichte Oesterreichs seit den Wiener Frieden 1809“. Leipzig, 1865, tom pierwszy, str. 287 i n.

polskich planów spiskowych fantazja policyjna była jeszcze bujniejsza i płodniejsza, niż w sprawach włoskich, gdyż, jak powiedzieliśmy, tacy zapaleńcy, jak Dębowski, dostarczali jej szalonemi pomysłami swojemi wątku do zapowiadania nawet krwawego przewrotu na tle stosunków społecznych. Obawa, że za przykładem chłopów galicyjskich, podburzonych przeciw szlachcie obietnicą darowania pańszczyzny, rozbudzi się podobny ruch, groźny także i w innych prowincjach państwa, gdzie ciężar pańszczyźniany był z pewnością bardzo dokuczliwy, a tylko nie tak okrzyczany, jak co do spotwarzonej pod tym względem Galicji, przejmowała wszystkie koła interesowane, oczywiście, w sposób, zapewniający aprobatę najostrzejszym środkom represji przeciw sprawcom ruchu. Przerażały tedy wszystkich djabły, na ścianie malowane, a tymczasem chmara rzeczywistych szatanów wyprawiała w nieszczęśliwej Galicji orgie, o pomstę do nieba wołające! Za to ks. Metternich mógł już być pewnym, że bez oporu Rosji i Prus, jako mocarstw, współinteresowanych protektoratem, będzie mógł zagarnąć dla Austrji Kraków, główną, jego zdaniem, kwaterę polskich żywiołów ruchu rewolucyjnego.

Od odpowiedzialności za wypadki galicyjskie z roku 1846 w zakreślonej przez nas mierze, nie zasłonili ks. Metternicha wydawcy papierów, w spuściźnie po nim pozostałych. Spuścizna ta nie obejmuje oczywiście całego materjału kancelarji kanclerskiej. Dla historji Galicji największe znaczenie miałyby akta, tyczące się wydanego po rzezi podziękowania cesarskiego dla lojalnej ludności, w sprawie odznaczenia niektórych krwawych bohaterów, zasłonienia Jakóba Szeli i t. p. Akta te stanowiłyby dowód na to, że takie jątrzenie włościan przeciw dworom, jakie biurokracja uważała za główną dla siebie dyrektywę, posiadało sankcję programu politycznego. Osłonienia zbrodniarzy bowiem, a zwłaszcza odznaczenia winowajców ze świata biurokratycznego, niepodobna inaczej wytłómaczyć, jak tylko w ten sposób, że „akcję“ chłopów i biurokratów przedstawiono monarsze, jako spełnienie obowiązku patrjotycznego, a rozlew krwi niewinnej jako ubolewania godne, ale — *comme à la guerre* — do pewnego stopnia usprawiedliwić się dające, przebranie miary w środkach „obrony koniecznej“.

Ale w tej wrzekomej wojnie dla wrzekomego zwycięzcy najfatalniejsza powstała sytuacja właśnie w chwili, w której prawdziwy zwycięzca w prawdziwej wojnie, mając u stóp swoich pokonanego nieprzyjaciela, ogłasza światu swój tryumf i wyzyskuje zwycięstwo. Jeżeli ks. Metternich miał chwilę upojenia zwycięskiego, gdy czytał raport Benedeka z pod Gdowa i pierwsze relacje tarnowskie Breinla, to teraz, gdy już nie było śladu powstańców, a natomiast po dworach plądrowały zwycięskie bandy hajdamackie, ciężko okupić musiał złudzenie. Powstały bowiem kolizje, z których, bez przyznania się do strasznego błędu, trudno było wybrnąć. Całą Europę obiegały opisy krwawych scen tarnowskich i takich potwornych zbrodni, jak wymordowanie rodziny Boguszów. To też coraz natarczywiej odzywało się pytanie: czy sądy kryminalne rozpoczęły już akcję swoją wobec notorycznych zbrodniarzy? czy Jakób Szela z pod sprzymierzeńczej opieki Breinla dostał się już do celi więziennej? A tymczasem wszyscy ci zbrodniarze, zamiast drżeć przed karą, czekali na dalsze nagrody, mianowicie na całkowite darowanie pańszczyzny. Kiedy wreszcie w Wiedniu uznano, że z akcją kryminalną wobec hajdamaków dłużej zwlekać niepodobna, pokazało się — może chociaż wtedy ku przerażeniu sfer, dotąd złudzenia szukających — że nie można wystąpić bezwzględnie przeciw Szeli i jego podkomendnym, jeżeli obok nich nie mają równocześnie zasiąść na ławie oskarżonych także i — współwinowajcy cyrkularni! Ale sprawa kryminalna rzuca tyle światła właśnie na tę stronę historji roku 1846, którą w tych szkicach odsłaniamy przed czytelnikiem, że niepodobna zbyć jej tutaj mimochodem, zwłaszcza wobec faktu, że i tutaj szczęśliwemu przypadkowi zawdzięczamy nowe materjały, zasługujące na osobne opracowanie.

Kolizja, która powstała w sprawie ścigania i ukarania zbrodniarzy bez przyznania się do strasznego błędu, mogła być przewlekana i pozorami ścisłego śledztwa przed światem upiększana. Natomiast druga kolizja, którą wytworzyły stosunki administracyjne i społeczne po skompletowaniu „zwycięztwa“, wymagała bezzwłocznego rozpoczęcia akcji zaradczej. Widok anarchii, panującej w Galicji, widok chłopstwa rozbestwionego, odgrażającego się, że pańszczyzny odrabiać nie będzie, bo ją już darowali spiskowi, a komisarze cyrkularni z łaski cesarskiej zupełnie ulżyć przyrzekli, wreszcie widok bezsilności władzy, formalnie wypierającej się wszelkiego wspólnictwa z postępowaniem chłopskiem, a jednak w rzeczywistości popadłej w zależność od niego — wszystko to wzbudzało w szlachcie innych prowincyj obawę, aby ruch nie posunął się poza granicę Galicji. Za tą obawą poszło, oczywiście, naleganie na rząd, aby kres położył anarchii galicyjskiej. Krótko a węzłowato odsłonił Breinl w swoim pamiętniku trudności, jakie zachodziły w tej mierze. Cytujemy jego zdanie z rękopisu profesora Losertha: „O przywróceniu pańszczyzny i myśleć nie można było w danej chwili. Arcyksiążę Ferdynand, który sprawę tę traktował więcej z wojskowego punktu widzenia, niż ze stanowiska administracyjnego, był skłonny do wymuszenia pańszczyzny siłą zbrojną, to musiałoby było doprowadzić do wojny chłopskiej“. Takie samo zdanie objawił Breinl w swoim czasie (1 marca 1846 roku) w relacji, bezpośrednio do kancelarji nadwornej wystosowanej. „Jedno nieostrożne słowo — mówi Breinl

w tej relacji — mogłoby sprowadzić jak największe nieszczęście, mianowicie to, że chłopi zwróciliby się przeciw rządowi, a wtedy nie możnaby myśleć o tem, żeby rząd utrzymał się w kraju“. Czyż nie jest to otwarte przyznanie się do zależności od chłopstwa, zależności, sprowadzonej poprzedniem wejściem w alians przeciw ruchowi. Jeżeliby potrzebny był jeszcze dalszy dowód na to twierdzenie, to stanowią go słowa, jakiemi Breinl w relacji do swojej przełożonej władzy usprawiedliwia zaniechanie uwięzienia Szeli. „Byłaby to — mówi — rzecz niebezpieczna, jeżeliby wielka liczba gmin (jak mówią, około 100) które mają pokładać zaufanie w Szeli, została wzburzona teraz, gdy wszystko dla ich uspokojenia podjąć należy“.

Jeżeli arcyksiążę Ferdynand myślał, jak zapewnia Breinl, o użyciu siły zbrojnej dla poskromienia oporu chłopów w sprawie pańszczyźnianej, to mógł się z tem odezwać chyba we Lwowie przed wyjazdem na teatr rzezi (w marcu 1846 roku), gdy jeszcze nawet nie przewidywał, z jak strasznemi spotka się tam rewelacjami. Stanąwszy na tym teatrze, arcyksiążę Ferdynand zapewne nie został przez starostów, Breinla i Bernda, zupełnie szczerze poinformowany o wszystkiem, co zaszło, ale, patrząc nawet na sytuację przez pryzmat biurokratyczny, musiał to odrazu spostrzedz, że niepodobna wystąpić z całą bezwzględnością ani przeciw chłopom, mogącym się zasłonić cyrkularnemi instrukcjami, ani przeciw autorom tych instrukcji, mającym na swoją obronę fakt, że postępowali ściśle w duchu systemu administracyjnego, który podtrzymywanie nieufności i zawiści między dworem a gromadą uważał za naczelny punkt programu rządzenia w Galicji. Okazuje się to z przytoczonych przez bar. Salę rozporządzeń, które arcyksiażę Ferdynand wydał 10 marca 1846 roku w Bochni do starostów na teatrze rzezi. Niema tam mowy o energicznej represji, a natomiast polecone zostało starostom nakłanianie poddanych „z należytą dobrocią i wyrozumiałością“ do spełniania powinności poddańczych. Co więcej, polecono starostom wpływanie na dwory, aby w wymaganiach swoich w tej mierze postępowały „z wszelkiem umiarkowaniem“, i odpisywały poddanym odpowiednią część powinności za straż, pełnioną podczas rozruchów“. Czem te straże chłopskie były w cyrkule Tarnowskim pod komendą Breinla, tego po tem wszystkiem, cośmy poprzednio o gospodarce Breinla, na podstawie jego pamiętnika, powiedzieli, domysłami bliżej określać nie potrzeba.

W dalszych rozporządzeniach, po powrocie do Lwowa wydanych, arcyksiążę Ferdynand zarządził wprawdzie wysyłanie asystencji wojskowej do gmin, które niedały się nakłonić łagodnemi przedstawieniami, ale zastosowanie środków drastyczniejszych przeciw opornym było tak ograniczone i ścieśnione zastrzeżeniami, że zakrawało na dyspozycję, wydaną... *ut aliquid fecisse videatur*. Zresztą arcyksiążę Ferdynand nie mógł już osobiście dopilnować wykonania swoich zarządzeń, gdyż w kwietniu powołany został do Wiednia na konferencję o sprawach galicyjskich. Był to tylko pretekst, pod którym postanowiono zatrzymać arcyksięcia Ferdynanda w Wiedniu i, co też później rzeczywiście nastąpiło, delikatnie zniewolić go do rezygnacji ze stanowiska generał-gubernatora w Galicji.

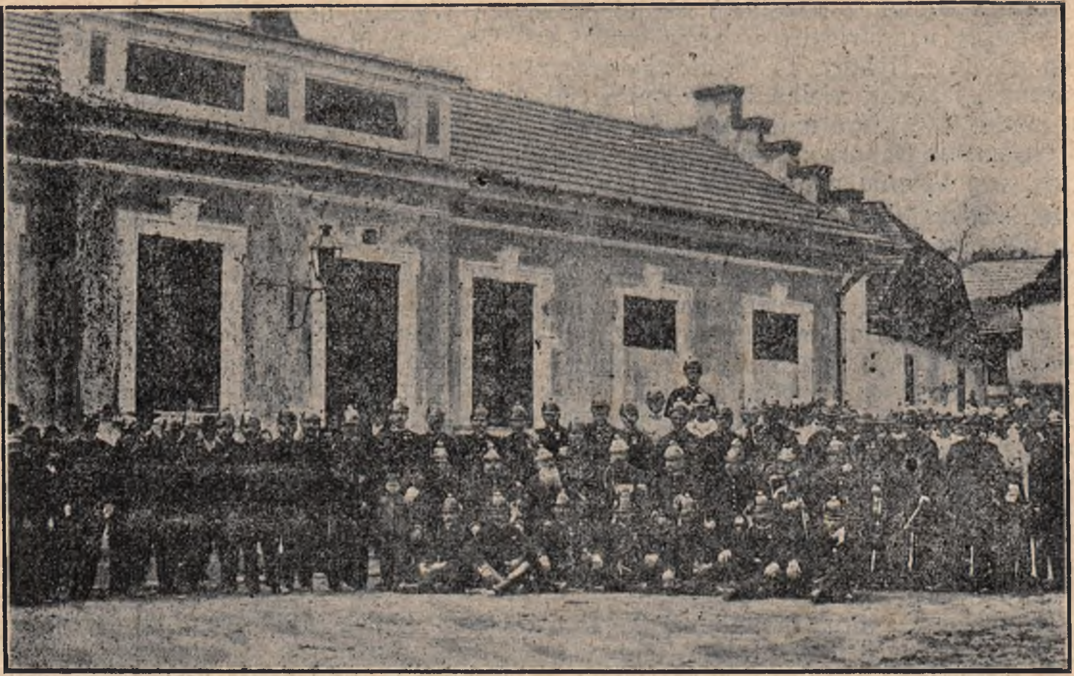
Według bar. Sali, ustąpienie arcyksięcia Ferdynanda uznano w wiedeńskich kołach rządowych za konieczne dlatego, że spostrzeżono tam wreszcie, iż dotychczasowe pojmowanie ruchu galicyjskiego, jako zamachu komunistycznego, obliczonego głównie na przewrót stosunków społecznych, było fałszywe. Otrzymano bowiem bliższe informacje, według których ruch ten miał głównie charakter narodowy, kierowany był przez ks. Adama Czartoryskiego i obejmował całą szlachtę polską. Odpowiedzialność za niedokładne informacje zwalono na Arcyksięcia, a nadto uznano go z powodu zbyt konserwatywnych przekonań za nieodpowiedniego do dzieła reform, za któremi zaczął się teraz oświadczać ks. Metternich w przewidywaniu, że ruch galicyjski jest tylko początkiem ogólnego europejskiego zamachu na dotychczasowy system polityczny.

Br. Sala znalazł w łączności roku 1846 z rokiem 1848 bardzo dogodny i zręcznie wyzyskany środek do takiego umotywowania rezygnacji arcyksięcia Ferdynanda, aby jej ścisły związek z krwawemi wypadkami roku 1846 i rolą, przez biurokrację w nich odegraną, został osłoniony względami wyższej polityki. Ale osłona ta zbyt jest wątła. Najpierw bowiem arcyksiążę Ferdynand, który opierał się podsuwanej mu dymisji, mógł odpowiedzialność za niedokładne informacje o charakterze ruchu galicyjskiego zwalić na sfery wiedeńskie, na ks. Metternicha, który cały świat dokoła w błąd wprowadzał bredniami swoich agentów o komunistycznych zamysłach inicjatorów i propagatorów tego ruchu, a powtóre, jeżeli chodzić miało o reformy polityczne, do których nagle uczuć miał skłonność skruszony, czy przerażony kanclerz państwa, to właśnie poważna firma członka domu cesarskiego najlepiej nadawała się do tego. Nie takie więc motywa, lecz inne, bliższe, a więcej trafiające do przekonania arcyksięcia Ferdynanda, miały go skłonić do ustąpienia. Musiał on sam w czasie swojego pobytu w Tarnowie i w Bochni spostrzedz, że niepodobna bez narażenia na szwank całej powagi władzy wystąpić przeciw sprawcom i uczestnikom hajdamaczyzny z całą surowością prawa, że trzeba natomiast, jak to uczynił w powyżej przytoczonych rozporządzeniach, balansować między poddanymi, wypowiadającymi posłuszeństwo, a dziedzicami, uprawnionymi do upomnienia się o należne im powinności pańszczyźniane, więc między zbrodniarzami a ich ofiarami. (C. d. n.)

Straż ogniowa ochotnicza
w Wieliczce.

Po wielkim pożarze w Wieliczce dnia 30. września 1871, podczas którego spaliła się apteka w Wieliczce, za inicjatywą ś. p. Brunona Miczyńskiego, właściciela tejże apteki i członka magistratu w Wieliczce, oraz ówczesnego burdziło statuty a p. Józefa Górnisiewicza obrano naczelnikiem tejże Straży. Jednakowoż w mieście ostygł już pierwszy zapał i dopiero, gdy w roku 1877 dnia 26 lipca olbrzymi pożar w Wieliczce zniszczył cały Rynek górny i sąsiednie ulice, zaczęto myśleć o organizacji straży na serjo.

Najwięcej przyczynił się do tego ś. p. Bruno Miczyński, ojciec teraźniejszego naczelnika ochotniczej Straży ogniowej, Dra Zygmunta Mi-



Straż ogniowa ochotnicza w Wieliczce.

mistrza ś. p. Ludwika Łapińskiego, Rada miejska w Wieliczce uchwaliła na najbliższem posiedzeniu, aby na wzór miasta Krakowa zorganizować korpus Straży ochotniczej ogniowej w Wieliczce, a całą czynność powierzono p. Józefowi Górnisiewiczowi, ówczesnemu urzędnikowi Magistratu w Wieliczce. Namiestnictwo zatwier-



Dr. ZYGMUNT MICZYŃSKI
burmistrz miasta Wieliczki, naczelnik Straży ochotniczej i inspektor krajowego Związku straży pożarnych.

czyńskiego. — On to stworzył *pierwszy w kraju* fundusz żelazny w celu dawania zapomóg strażakom, którzy podczas swej służby przy pożarze odniosą rany. Po śmierci ś. p. B. Miczyńskiego, wybrano naczelnikiem jego syna Dra Zygmunta Miczyńskiego, który podówczas był już zastępcą naczelnika Straży ochotniczej ogniowej w Wieliczce.

Dr. Zygmunt Miczyński ur. w r. 1861 w Krakowie, po ukończeniu gimnazjum św. Anny w Krakowie, wstąpił na uniwersytet w Wiedniu, a po ukończeniu studjów, jako magister farmacji, zapisał się na wydział filozoficzny i otrzymał tytuł doktora filozofji. — Dr. Zygmunt Miczyński od r. 1889 jest właścicielem apteki w Wieliczce. W roku 1892, wszedłszy w skład Rady miejskiej wielickiej, wybrany został po raz pierwszy burmistrzem w r. 1899, a w dniu 16. maja 1902 ponownie na lat 6.

Od roku 1890 Dr. Zygmunt Miczyński jest członkiem Rady zawiadowczej krajowego Związku straży pożarnych, a od r. 1896 powiatowym Inspektorem Straży pożarnych.

Podczas jubileuszu 25-letniego istnienia ochot. Straży ogn. w Wieliczce w r. 1897, odznaczony został przez księcia Adama Sapiehę, naczelnika

Związku krajowego, odznaką honorową, za dwudziestoletnią służbę przy straży.

Bardzo dodatnią siłą Straży ogniowej ochotniczej w Wieliczce jest p. Józef Martynowicz sekretarz Magistratu i zastępca naczelnika tejże Straży.

Straż ogniowa ochotnicza w Bierzanowie.

Straż ogniowa ochotnicza w Bierzanowie zorganizowaną została przed kilkoma laty. Dzięki ofiarności Rady gminnej od której otrzymuje corocznie pewną subwencję, dziś posiada już własną strażnicę murowaną, wszelkie przyrządy do gaszenia ognia wedle nowych wymogów oraz umundurowanie.

Naczelnikiem tejże Straży ogniowej ochotniczej jest p. Piotr Orzechowski, prywatny urzędnik p. K. Czecza.



Straż ogniowa ochotnicza w Bierzanowie.

CONON DOYLE.

TAJEMNICA BASKERVILLE'ÓW

Dziwne przygody Sherlocka Holmes.

Przekład z angielskiego

EUGENII ŻMIJEWSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

Stąpaliśmy powoli wśród ciemności. Światełko płonęło wciąż w jednym punkcie. Chwilami zdawało nam się, że jest blizkiem, to znów że bardzo odległem. Wreszcie zmiarkowaliśmy, w której stronie świeci.

Niedaleko od nas, w szczelinie pomiędzy dwiema skałami, chroniącemi ją od wiatru, stała świeczka w lichtarzu. Nie było jej widać z żadnego innego punktu, tylko od strony Baskerville-Hall. Zrąb skalny zasłaniał nas przed oczyma zbiega. Pełzając ostrożnie, doczołgaliśmy się pod świecę.

— Co teraz? szepnął sir Henryk.

— Czekajmy. On musi być w pobliżu. Trzeba zajrzeć. Zobaczymy go może.

Jakoż zaledwie tych słów domówiłem, w szczelinie skalnej, nad świecą ukazała nam się twarz potworna, zwierzęca, zorana dzikiemi namiętnościami, żółta jak wosk. Zbrodniarz był zarosły po same oczy. Tak wyglądali zapewne nasi przodkowie, zamieszkujący te bagna w przedhistorycznej epoce.

Morderca wodził niespokojnym wzrokiem dokoła, jak zwierz, gdy go doleci odgłos nagonki.

Coś widocznie wzbudziło jego podejrzliwość. Może Barrymore zwykł był dawać mu sygnał, o którym nie wiedzieliśmy, a może złoczyńca miał inny powód do obawy, bądź co bądź strach malował się na jego dzikiej twarzy.

Lada chwila mógł cofnąć się i zniknąć wśród ciemności. Wyskoczyłem z mojej kryjówki, sir Henryk za mną. Zbrodniarz zaklął przeraźliwie i zrzucił ogromny kamień. Roztrzaskał się on o skałę, o którą opieraliśmy się przed chwilą. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności księżyc przedarł się właśnie przez chmury i oświecił bagno.

Zbiegliśmy z pagórka, goniąc uciekającego co tchu Seldona. Przeskakiwał z kamienia na kamień, ze skały na skałę, jak dziki kozieł.

Mogłem powalić zbrodniarza odrazu wystrzałem z rewolweru, lecz wziąłem go dla obrony w razie napaści, nie zaś dla zabijania człowieka bezbronnego.

Obaj z sir Henrykiem biegamy znakomicie, przekonaliśmy się jednak niebawem, że nie zdołamy go dopędzić. W świetle księżyca widzieliśmy długo jego szerokie bary i kabłąkowate nogi, aż wreszcie ukazał nam się, jako mały punkcik na skraju widnokręgu.

Biegliśmy do zupełnego braku tchu, ale przestrzeń pomiędzy nami a uciekającym Seldonem zwiększała się ustawicznie. Wreszcie, zdyszani, usiedliśmy na skale, patrząc za nim, dopóki nam nie znikł z oczu.

W chwili jest właśnie zdarzyła się rzecz dziwna, i niespodziewana. Odpocząwszy, wstawaliśmy, aby wracać do domu, bośmy już zaniechali dalszego pościgu. Księżyc w pełni zachodził za jedną z wyższych skał; wtem na jej szczycie ujrzałem postać męską, wyglądającą jak posąg.

Nie myśl, że to było złudzenie. O ile mogłem zauważyć, był to mężczyzna wysokiego wzrostu, szczupły. Stał z założonemi na krzyż rękoma, ze spuszczoną głową, jak gdyby wpatrywał się w tę pustą przestrzeń.

To może duch bagna... Bądź co bądź, nie był to Seldon, gdyż ten przed chwilą znikł był w kierunku wręcz przeciwnym. Zresztą owa postać była daleko wyższa i szczuplejsza.

Chciałem pokazać to zjawisko baronetowi, lecz w chwili, gdym się odwrócił, postać już zniknęła. Na tle księżycowej tarczy odrzynały się skały, lecz żywy posąg nie stał już na ich szczycie.

Chciałem pójść i przekonać się, co to było, ale baronet nie miał ochoty szukać nowych wrażeń. Nie dostrzegł owego dziwnego zjawiska i wmawiał we mnie, że mi się przywidziało, bo nie odczuł wrażenia, które mnie wstrząsnęło do szpiku kości.

— To zapewne jaki strażnik ziemski. Bagno roi się od nich od czasu, gdy Seldon uciekł z więzienia.

Ha! kto wie, czy takie wyjaśnienie, nie jest prawdziwem; chciałbym jednak to stwierdzić.

Dziś mamy zamiar donieść zarządowi więziennemu w Princetown, gdzie ma szukać zbiega. Jednak szkoda, że nie zdołaliśmy go sami schwytać.

Takie są przygody ostatniej nocy. Musisz przyznać, Holmes, że moje sprawozdanie jest bardzo szczegółowe i dokładne. Wiele faktów pozostaje do wyjaśnienia; przedstawiam ci je bez komentarzy, aby ci nie przeszkadzać w wyprowadzaniu wniosków.

Postąpiliśmy naprzód na drodze odkryć. Znamy już przyczynę nocnych wędrówek Barrymorów — a to ułatwia sytuację.

Lecz trzęsawisko zawiera jeszcze wiele tajemnic niewyjaśnionych. Może w następnym liście zdołam rzucić na nie światło. Byłoby najlepiej, gdybyś mógł sam przyjechać.

X.

Wyjątek z dziennika doktora Watsona.

Do tego punktu w mojem opowiadaniu posiłkowałem się listami, pisywanymi do Sherlocka Holmes. Odtąd, dla odświeżenia pamięci, muszę zaglądać do mego dziennika z owego czasu. Przytoczę kilka ustępów, zaczynając od dnia, następującego po naszym pościgu.

16. października.

Drobny deszczyk kropi bezustanku. Cały dom spowity w gęstą mgłę; to się podnosi, to opada, ukazując łąkę i trzęsawisko. W pałacu i na dworze smutno.

Baronet przebywa reakcję po wczorajszem podnieceniu. Ja sam czuję dziwny niepokój, widzę niemal zbliżające się niebezpieczeństwo, a jest tem groźniejsze, iż nie potrafimy go określić.

Powodów do obawy nie braknie. Cały szereg okoliczności złożył się na wzbudzenie w nas przesądnego strachu: naprzód tajemnicza śmierć poprzedniego właściciela tej rezydencji; dalej — pogłoski, krążące po okolicy, wreszcie te zagadkowe odgłosy na bagnie. Słyszałem je dwa razy na własne uszy...

Wszystko to wyłamuje się z pod zwykłego porządku rzeczy i praw natury: pies widmowy, legendowy, pozostawia ślady stóp i wyje przeraźliwie. Stapleton nawet wierzy w jego istnienie, a doktor Mortimer, pomimo swej wiedzy, przekonany jest, że widział jakieś nadprzyrodzone stworzenie.

Ja, choć nie jestem uczonym, jak ci dwaj panowie, nie mogę jednak w to uwierzyć; byłoby to zejść do poziomu umysłowego włościan okolicznych, którzy gotowi przysiądz, że widzieli psa, ziejącego ogniem i siarką.

Holmes nie słuchałby nawet podobnych baśni — i ja powinienem być na nie głuchym.

Lecz fakty są faktami, a na własne uszy dwa razy słyszałem szczekanie na bagnie. Przypuśćmy, że jest tam jakiś pies zdziczały — byłoby to wyjaśnieniem tych wszystkich zagadek.

Lecz gdzież taki pies ukrywa się? Gdzież znajduje pożywienie? Dlaczego nikt go nie widzi we dnie?...

Pomijając nadprzyrodzone czynniki w tej sprawie, pozostaje działalność ludzka: ów blady mężczyzna, śledzący nas z dorożki, i ostrzeżenie, przesłane sir Henrykowi. To są fakty realne, lecz owym nieznajomym może być zarówno przyjaciel jak i wróg. Gdzież on teraz przebywa? Czy pozostał w Londynie? Czy też nas śledzi tutaj? Może to on był owym wysokim,

szczupłym mężczyzną, którego widziałem w świetle księżyca na szczycie skały?

Co prawda, widziałem bardzo niewyraźnie i przelotnie, lecz jestem pewien, że to nikt z okolicy, bo znam już wszystkich sąsiadów. Był wyższy od Stapletona, szczuplejszy od Franklanda. Mógłby to być Barrymore; ale pozostawiliśmy go w domu, i z pewnością nie wyszedł za nami.

A więc śledzi nas jakiś nieznajomy — zapewne ten sam, co w Londynie. Gdybym zdołał go schwytać, możeby to wyjaśniło wszystkie te zagadki. Całą moją energję wytężę, aby tego celu dopiąć.

W pierwszej chwili chciałem zwierzyć się sir Henrykowi z moich zamiarów, ale po namyśle zaniechałem tego zamiaru. Baronet jest zdenerwowany — nie chcę zwiększać jego niepokoju. Będę działał na własną rękę.

Dziś popołudniu mieliśmy drobne zajście. Barrymore prosił sir Henryka o posłuchanie. Rozmawiali przy zamkniętych drzwiach w gabinecie. Siedząc w sali bilardowej, słyszałem słowa urywane i domyślałem się, o co chodzi. Po chwili baronet drzwi otworzył i wezwał mnie.

— Barrymore ma żal do nas, rzekł. — Znajduje, żeśmy źle postąpili wobec niego, ścigając Seldona, skoro on, z własnej woli, tajemnicę nam powierzył.

Kamerdyner stał przed nami, bledszy, niż zwykle, i widać było że hamuje się z trudnością.

— Wyraziłem się może zbyt ostro — rzekł, tłómacząc się. — Przepraszam jaśnie pana. Ale co prawda, byłem zdziwiony, że panowie chcieli schwytać Seldona. Ten nieszczęśnik ma już dość biedy z policją i nie spodziewa się zapewne, że go ścigają gentlemenowie...

— Gdybyś nam się zwierzył z własnej i nieprzymuszonej woli, byłaby rzecz inna — przekładał mu baronet, ale powiedziałeś nam, a właściwie twoja żona powiedziała nam prawdę pod naciskiem, więc mamy ręce rozwiązane.

— Nie sądziłem, że jaśnie pan będzie z tego korzystał...

— Ten człowiek jest szkodliwym dla całej okolicy. Dużo jest domków odludnych na łące i trzęsawisku, choćby naprzykład willa pana Stapleton: stoi na uboczu. W razie napaści, któż przyjdzie z pomocą?... Dopóki ten łotr tutaj grasuje, nikt nie jest pewnym życia.

— On nie napadnie na żaden dom. Ręczę panu za to słowem honoru. Zresztą za kilka dni opuści te strony. Poczyniliśmy już przygotowania, aby go wyprawić do południowej Ameryki. Na miłość Boską, błagam panów, nie wydawajcie go w ręce policji!

— Co ty na to powiadasz, Watson? — zapytał mnie sir Henryk.

Wzruszyłem ramionami.

— Jeżeli istotnie ma opuścić Anglię, uwolni to kraj od utrzymywania jednego więcej łotra — odrzekłem.

— Ale czy można być pewnym, że przed wyjazdem nie wyrządzi krzywdy nikomu?

— Jaśnie panie, byłoby to szaleństwem z jego strony. Zaopatrzyliśmy go we wszystko, czego mu potrzeba. Nową zbrodnią wprowadziłby tylko policję na swój trop.

— To prawda — przyznał sir Henryk — a więc Barrymore...

— Niech Bóg nagrodzi to jaśnie panu — przerwał kamerdyner, ze szczerym wybuchem wdzięczności. — Moja żona nie przeżyłaby drugi raz takiej hańby...

— Poprostu sprzyjamy i dopomagamy łotrowi... Ale nie chcę wtrącać pani Barrymore do grobu... i jeśli Seldon opuści te strony i zachowa się spokojnie, będę milczał.

Kamerdyner skłonił się głęboko i zmierzał ku drzwiom, ale zawahał się i przystąpił znowu do sir Henryka.

— Jaśnie pan był dla mnie tak dobry — szepnął — że chciałbym się mu odwdzięczyć wedle możności. Ja coś wiem i powinienem był powiedzieć to wcześniej, ale wykryłem to po skończonem śledztwie. Tyczy się to śmierci sir Karola...

Obaj z sir Henrykiem zerwaliśmy się na równe nogi.

— Wiesz, w jaki sposób umarł?... — zagadnął baronet.

— Nie, jaśnie panie, tego nie wiem.

— Więc cóż?

— Wiem, dlaczego był przy furtce o tej godzinie. Czekał na kobietę.

— Na kobietę? On?...

— Tak, panie.

— Jakże się ona nazywa?

— Nazwiska nie znam, mogę tylko wymienić pierwsze litery.

— Skąd je znasz, Barrymore?

— Sir Karol otrzymał list tego dnia rano. Zwykle dostawał dużo listów, bo wiedziano o jego dobrem sercu, i każdy w kłopocie udawał się do niego. Ale wtedy był tylko ten jeden list, więc go zauważyłem. Nosił stempel pocztowy Combe-Tracey, adres był wypisany kobiecą ręką.

— No i cóż?

— Zapomniałem już o tym szczególe, gdy przed paru tygodniami, moja żona, porządkując w gabinecie sir Karola — (pozostał nietknięty od jego śmierci) — otóż moja żona znalazła w popiele z kominka niedopalony szczątek listu; były na nim wypisane słowa: „Proszę i zaklinam pana, abyś ten list spalił i przyszedł do furtki o dziesiątej“. Pod spodem były litery *L. L.*

— Czy masz ten niedopalony kawałek?

— Nie; gdyśmy go poruszyli, rozsypał się.

— Czy sir Karol otrzymywał poprzednio listy, pisane takim charakterem?

— Nie przeglądałem jego korespondencji, a

nie byłbym zauważył tego listu, gdyby nadszedł z poczty wraz z innemi.

— Nie wiesz, kto może być owa *L. L.?*

— Nie, jaśnie panie; sądzę jednak, że gdybyśmy zdołali to wykryć, dowiedzielibyśmy się czegoś więcej o śmierci sir Karola.

— Nie pojmuję, Barrymore, jak mogłeś przemilczeć o tak ważnym szczególe...

— Miałem własne kłopoty, biedę z Seldonem, a przytem byliśmy oboje bardzo przywiązani do sir Karola, więc woleliśmy zamilczeć o tem odkryciu; nie mogło to już pomódz naszemu biednemu panu, a tam gdzie wchodzi w grę kobieta, lepiej jest być ostrożnym.

— Baliście się, aby to nie zaszkodziło jego opinii?

— Tak. Ale teraz, gdy jaśnie pan okazał nam tyle dobroci, uważam sobie za obowiązek wyznać to jaśnie panu.

— Dobrze, Barrymore, możesz już odejść.

Gdy drzwi zamknęły się za kamerdynerem, sir Henryk zwrócił się do mnie:

— No i cóż, Watson, co powiadasz na to nowe światło?

— Zwiększa ono jeszcze ciemności, otaczające nas zewsząd.

— I ja tak sądzę. Lecz gdybyśmy zdołali wyśledzić, kto jest *L. L.*, możeby to wyświetliło całą sprawę. Bądź co bądź, już o tyle zyskaliśmy, że wiemy, iż jest ktoś, kto może nam wyjaśnić przyczynę śmierci sir Karola. Jak uważasz: co nam teraz uczynić należy?

— Trzeba przedewszystkiem uwiadomić o tem Holmesa. Damy mu klucz, którego szuka tak dawno; jestem prawie pewien, że potrafi z niego skorzystać.

Poszedłem zaraz do mego pokoju i spisałem naszą ranną rozmowę, aby ją posłać Holmesowi. W ostatnich czasach był widocznie bardzo zajęty; otrzymywałem od niego listy krótkie, bez żadnych uwag o tem, co mu donosiłem, prawie bez wzmianek o naszej misji. Sprawa o wyzysk pochłania go zupełnie, a jednak i tutaj dzieje się tyle rzeczy dziwnych, że mógłby zainteresować się niemi żywiej.

17. października.

Przez cały dzień deszcz padał. Myślałem o mordercy na bagnie. Ciężko zawinił, to prawda, ale też ciężko odpokutowuje swą zbrodnię. Potem zastanawiałem się nad tajemniczym nieznajomym, który nas śledził z dorożki. Jeżeli to on ukazał mi się na tle księżycowej tarczy, musi teraz moknąć. Wieczorem wziąłem płaszcz i wyszedłem na bagno. Wiatr smagał mnie po twarzy, deszcz lał się za kołnierz. Dotarłem do skały Black-Tor, na której szczycie stał wówczas nieznajomy. Z jej wyżyn spojrzałem na szarą równinę.

Na lewo, wśród gęstych chmur, po nad drzewami sterczały wieżyce Baskerville-Hall. Były to jedyne oznaki życia; dokoła pustka i cisza, nigdzie nie mogłem dojrzeć śladów owej postaci widmowej, którą dostrzegłem parę dni temu.

Wracając, spotkałem doktora Mortimer. Jechał wózkiem. Poczciwy doktor okazuje nam dużo życzliwości, odwiedza nas prawie codzień. Zaprosił mnie do swego wehikułu i odwiózł do domu. Spostrzegłem, że jest smutny; skarżył mi się, że mu zginął ulubiony piesek: wybiegł na bagno i już nie wrócił. Starałem się go pocieszyć, dowodząc, że się odnajdzie, ale przypomniał mi się źrebak, który w moich oczach zatonął w błotach Grimpen-Mire. Wątpię, czy doktor zobaczy już swego ulubieńca.

— Wszak pan zna tu wszystkich? — zagadnąłem doktora.

— Zdaje mi się — odparł.

— Czy nie mógłby mi pan wymienić kobiety, której inicjały są: *L. L.?*

Szukał w pamięci.

— Nie — rzekł wreszcie. — Jest tu wprawdzie kilka rodzin cygańskich, o których nic nie wiem, lecz znam wszystkich farmerów i obywateli okolicznych z imienia i nazwiska. Poczekaj pan — rzekł nagle. — Jest Laura Lyons — inicjały *L. L.*, ale ona mieszka w Coombe-Tracey.

— Kto to taki? — spytałem.

— Córka starego Franklanda.

— Jakto? Więc ten dziwak ma córkę?

— Ma. Wyszła za artystę, nazwiskiem Lyons, który przybył tu dla malowania okolicy. Opuścił żonę, choć mówią, że i ona nie jest bez winy. Ojciec wyparł jej się. Biedna kobieta ma ciężkie życie...

— Z czegóż się utrzymuje?

— Stary Frankland płaci jej pewną kwotę miesięcznie, ale nie dużo, bo jego własne interesy są zagmatwane. Niepodobna było jej opuścić i dać jej się zmarnować zupełnie. Kilka osób z sąsiedztwa postarało się dostarczyć jej uczciwego zarobku. Stapleton, sir Karol, no i ja wreszcie zrobiliśmy dla niej, co się dało. Kupiono jej maszynę do pisania, i w ten sposób zarabia.

Doktor Mortimer pytał o powód moich indagacyj; zaspokoiłem jego ciekawość, nie mówiąc mu prawdy: po co tyle osób ma wiedzieć o tym liście?

Jutro rano pojadę do Coombe-Tracey, a jeśli zdołam zobaczyć się z ową mrs. Laurą Lyons, podejrzanej reputacji, jedno ogniwo zostanie oderwane od tajemniczego łańcucha. Nabieram przebiegłości: gdy doktor Mortimer nacierał, chcąc dowiedzieć się, dlaczego interesuję się panią Lyons, zapytałem go podstępnie, do jakiego typu należy czaszka pana Frankland, dzięki temu, do końca naszej wycieczki nie słyszałem o niczem, tylko o kraniologii. Nie darmo tyle lat przebywam w towarzystwie Sherlocka Holmes.

(C. d. n.)

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“. Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku